

W ostatnich sześciu numerach *Debaty* ukazały się fragmenty Wspomnień Bohdana Kurowskiego opisujące jego dzieciństwo spędzone częściowo przed wojną, a częściowo na zsyłce w Kazachstanie. Ze względu na ograniczenia czasowo-przestrzenne, rozdziały wspomnień dotyczące wczesnej młodości Autora zostaną w niniejszej serii pominięte. W kolejnych numerach *Debaty* ukazą się odcinki dotyczące wybranych okresów działalności B. Kurowskiego w Olsztynie w wieku dorosłym. *Wspomnienia* w całości (obecnie w przygotowaniu) będą dostępne w wydaniu książkowym (jk).

Bohdan Kurowski

Rozrachunki z przeszłością (cz. 7)

Olsztyński Październik

Na przełomie lat 1955-56, jako dziennikarz *Głosu Olsztyńskiego* zgłosiłem do druku obszerny, na dwie pełne strony gazety, tekst o kompleksach ludzi z *tiopuszek*. Pisałem to spod serca, bo nie całkiem mogłem pogodzić się z faktem, że nie powiedziano przynajmniej części prawdy o stosunkach polsko-sowieckich w latach 1939-41. Wywieziono przecież ponad milion ludności polskiej, dlatego tylko że byli Polakami. Teoretycznie istniały również kryteria klasowe, ale praktycznie wywożono, kogo się dało: urzędników, leśniczych, nauczycieli, nawet fernali, którzy byli zbyt polscy; oczywiście Żydów – tych ostatnich bardziej według kryterium klasowego, na przykład kiedy z zazdrości chciano usunąć sklepikarza z jakiejś społeczności. Donoszono na niego i on był wyrzucany. Niemniej polskość pozostawała kryterium głównym. Mam wrażenie, że po klęsce 1920. roku Lenin, a zwłaszcza Stalin – który przecież nadzorował front południowy, gdzie w 1920. pokonaliśmy konnicę Budionnego, niezdolną potem przyjść na odsiecz Warszawie – odczuwali anty-polski kompleks. To jedna z przyczyn, dla której szukali osobliwej zemsty na Polakach.

Mój tekst o *tiopuszkach* nie analizował tego aż tak głęboko, mówił natomiast o ludziach, którzy nagle zostali brutalnie wyrwani ze swoich rodzin i środowiska, i wywiezieni w głąb Rosji, do Syberii czy Kazachstanu. Pisałem, że jeśli nie umożliwi się tym ludziom mówienia o tym, tak aby mogli rozładować owe dawno narosłe napięcia i frustracje, to oni nigdy tego nie zapomną. Niestety, miejscowa cenzura tekst wstrzymała.

Tymczasem nieuchronnie zbliżał się polski październik, a więc dojście Gomułki do władzy oraz zasadniczy przewrót w naszym życiu. Zaczęło się od wydarzeń węgierskich na przełomie czerwca i lipca. Studenci olsztyńscy zareagowali na nie bardzo ostro, odbyły się pierwsze manifestacje. Dwudziestego października nadeszła z Warszawy do redakcji *Warmii i Mazur*, gdzie wówczas pracowałem, depesza od kolegów z *Po Prostu*: *Zwracamy się z prośbą o poparcie. Załączamy rezolucję wiecu studentów i robotników. Wyrażamy poparcie dla postępowego odłamu kierownictwa. Wierzimy, że rozmowy z delegacją radziecką zakończą się zwycięstwem zasady suwerenności i prawa wyboru własnej drogi do socjalizmu...* Słowa te odnosiły się do wizyty Chruszczowa, który w tymże czasie prowadził poważne rozmowy z Gomułką, zapewne aby wywr-

żyć nacisk. Depesza głosiła dalej: *Robotnicy i studenci Warszawy na każde zawołanie kierownictwa gotowi są bronić polskiej rewolucji*. Nadeszła też wiadomość, że dowódca Korpusu Wojsk Wewnętrznych generał Komar (*nota bene* ojciec znanego publicysty Michała Komara) organizuje obronę Warszawy. Sytuacja wyglądała więc bardzo poważnie.

Zdopingowani tym, natychmiast zebraliśmy się (grona osób nie pamiętam dokładnie), by rozważyć możliwość zorganizowania w Olsztynie poparcia dla warszawskich przemian październikowych. Szczególnie po wizycie Władysława Bienkowskiego¹ nastroje polityczne w redakcji dojrzały, stały się wręcz nabrzmiałe. Udaliśmy się do oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, którego prezesem był wówczas Leszek Błaszczyk. Przedstawiliśmy mu propozycję, by na schodach teatru imienia Stefana Jaracza zwołać wiec. Wydaje mi się, że to ja byłem pomysłodawcą wiecu, ale znikąd nie znajduję potwierdzenia. Zapewne było nas kilku, ale prócz Bronisława Gołębiowskiego nikt nie przychodzi mi na myśl.

Błaszczyk ów pomysł kupił. Z kolei udaliśmy się do redaktora naczelnego *Głosu Olsztyńskiego* Leszka Jucewicza (jego pseudonim publicystyczny to Leszek Orlik) z propozycją, aby nazajutrz,

dwudziestego pierwszego października ukazał się w *Głosie Olsztyńskim* komunikat, iż dziennikarze olsztyńscy zapraszają mieszkańców miasta na wiec przy Jaraczu, jako wyraz poparcia dla towarzysza Gomułki oraz przemian październikowych. Choć błąd i przerażony – tak, że ręce mu się trzęsły – Jucewicz zgodził się. Bądź co bądź miał przed sobą delegację Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, ponieważ dołączyło do nas kilku kolegów z *Głosu Olsztyńskiego*, którzy byli w zarządzie SDP. Redakcyjna skoda zaczęła krążyć po mieście, rozwoząc zaproszenia do różnych środowisk, wielkich zakładów pracy, węzła PKP. Chodziło o to, by już dzień wcześniej, zanim zadziała ogłoszenie o wiecu umieszczone w gazecie, dostarczyć odpowiednich zaproszeń i informacji. Tegoż dnia zebraliśmy się w gabinecie redaktora naczelnego *Warmii i Mazur* Jana Aleksandra Króla, aby ułożyć rezolucję. Choć świadom jestem, że człowiek zawsze pamięta siebie od najlepszej, najbardziej aktywnej strony, wierzę, że moja rola w układaniu owej rezolucji była bardzo znacząca. Wydaje mi się wręcz, że to ja właśnie ją zaproponowałem, choć oczywiście podlegała ona potem dalszym zmianom. W swojej bezcennej pracy *Rok 1956 na Warmii i Mazurach: Wybór źródeł*, wydanej w 1998 roku, Bohdan Łukaszewicz przytacza tekst, który opublikowałem bezpośrednio po wiecu, już dwudziestego pierwszego października. Piszę w nim, że grupa dziennikarzy w redakcji od rana męczy się nad projektem rezolucji, którą następnego dnia przedstawi się zebranym na wiecu. Chodziło o to, by rezolucja była krótka, zwarta, a jednocześnie ujmowała wszystko, co wówczas wydawało się nam najistotniejsze. Głosowaliśmy nad nią formalnie. Piszę dalej, że w Olsztynie działał sztab próbujący sparaliżować nasze działania. Wiec kazano obstawić i nie dopuścić do "prowokacji" – przy czym szczególnie pilnie obserwowano bereciarzy, w tym wielu dziennikarzy.

Dwudziesty pierwszy października to data przełomowa. Ktokolwiek odgrywał lub chciał odgrywać czynną rolę w życiu miasta i województwa, przyszedł na wiec. Tak ogromna manifestacja nie mogła pozostać niezauważona. My, organizatorzy, staliśmy na schodach pod wejściem do teatru, natomiast parę tysięcy osób wypełniło sporą część ulicy .1-ego Maja. Wiec otworzył przewodniczący Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich Leszek Błaszczyk. Według relacji Bronka Gołębiowskiego, ja przemawiałem pierwszy (to przemówienie jest gdzieś w archiwach radia). Potem z tego powodu włókł się pewien smród,



Olsztyńscy dziennikarze

ponieważ formalnie organizatorem było Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, ja zaś byłem tylko członkiem tej organizacji². Niemniej wystąpiłem z taką inicjatywą. Potępiłem stalinizm, żądając dokończenia dzieła faktycznej likwidacji kultu jednostki. Drugim elementem przemówienia była sprawa natolińczyków i puławian, nadana przez grupę Żydów w Warszawie. Podkreślałem, że powinniśmy przeciwstawić się antysemityzmowi, który wówczas szerzył się w partii, sprowadzając istotę konfliktu politycznego na płaszczyznę porachunków nacjonalistycznych oraz rozprawy z Żydami. Następnie wystąpili Babicz z *Głosu Olsztyńskiego*, Mamiński i paru innych dziennikarzy. Stawiły się władze. Przemawiał – choć bardzo enigmatycznie – sekretarz propagandy Komitetu Wojewódzkiego Michał Frank. Prócz niego obecny był zastępca przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej Januszko oraz kilku oficjeli, którzy po prostu stali sobie i klaskali (równie enigmatycznie). Rezolucję ostatecznie odczytał Broniek Gołębiowski. Zawierała sześć punktów. W pierwszym żądaliśmy powołania komisji sejmowej dla zbadania ekonomiczno-politycznej sytuacji w Olsztyńskiem – jednym z najbardziej zacofanych województw w Polsce, jeśli nie najbardziej zacofanym, przynajmniej pod względem ekonomicznym. Żądaliśmy pełnych, konstytucyjnie zagwarantowanych swobód dla prasy, radia i organizacji społecznych – czyli po prostu domagaliśmy się przestrzegania Konstytucji. Praktycznie oznaczało to, że żądamy zniesienia cenzury. Również sytuacja autochtoniczna była bardzo trudna. Żądaliśmy równouprawnienia dla ludności miejscowego pochodzenia oraz mniejszości narodowych; rehabilitacji ludzi skrzywdzonych i niesłusznie karanych. Było

też żądanie wypędzenia z województwa wszystkich krzywdzicieli ludności miejscowej – naiwne, bo idąc tym tropem trzeba byłoby wypędzić połowę obywateli. Żądaliśmy przeprowadzenia wyborów do Sejmu PRL w duchu pełnej demokracji, bez narzucania przez instancję kandydatów z Warszawy i ludzi bez autorytetu miejscowemu społeczeństwu. Wreszcie, żądaliśmy utworzenia komisji do zbadania sytuacji w Wyższej Szkole Rolniczej, w celu umożliwienia dalszego rozwoju tej uczelni (WSR wymagała dodatkowych bodźców, by rozwijać się po utworzeniu). Tych sześć punktów podaliśmy po ogólnym uzasadnieniu. Głosowanie miało charakter symboliczny; wszyscy zgromadzeni podnieśli ręce na znak poparcia. Ani jedna ręka nie podniosła się „przeciw”. Wiec zakończył się zapowiedzią, że studenci WSR zapraszają na osobne zgromadzenie, które ma się odbyć następnego dnia.

Rzeczywiście, dwudziestego drugiego października odbył się zjazd w Kortowie. Udałem się tam wraz z Bronisławem Gołębiowskim. Obaj przemawialiśmy. W rezolucji studenckiej, która zawierała liczne punkty, domagano się między innymi rewizji procesów politycznych, całkowitej suwerenności Polski, wycofania wojsk radzieckich, przekazania obiektów Ludowemu Wojsku Polskiemu. Oprócz haseł rozsądnych i możliwych do zaakceptowania były też żądania nierealistyczne, na przykład przyłączenia Wilna i Lwowa do Polski, a także bardzo ostre hasła antysowieckie. Te ostatnie, nawet jeśli bliskie sercu, były po prostu nie do przyjęcia w granicach rozsądnego myślenia politycznego. W rezultacie Gołębiowski i ja odegraliśmy rolę uspakajaczy. Jeden z punktów rezolucji studenckiej głosił: „Jesteśmy za wieczystą przyjaźnią z nar-

odami Związku Radzieckiego, krajami demokracji ludowej, Jugosławią i Chinami ludowymi”. Innymi słowy, był to trochę kociokwik. Niemniej rezolucja odzwierciedlała problemy, które wówczas nurtowały i bolały ludzi. Studenci szukali formuły do wyrażenia niepokoju oraz troski o to, by w Polsce działo się lepiej. Choć występowaliśmy jako „hamulcowi”, studenci przyjęli nas bardzo dobrze, zapraszali na kolejne wiece i spotkania.

Podczas wiecu w Kortowie znajdowały się na stole kartki papieru, na których umieszczano *ad hoc* poszczególne żądania rezolucji. Ja wpisałem: *Żądamy ustąpienia z Komitetu Wojewódzkiego ludzi, którzy do ostatniej chwili bronili wstecznych pozycji stalinizmu*. Wymieniłem tu kilka nazwisk, między innymi sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR Jana Klechy, również Fornala, Skowrońskiego... Ktoś spytał, dlaczego nie znalazło się tam nazwisko Franka. Otóż Gołębiowski i ja uznaliśmy, że Frank mógł być przydatny w procesie przechodzenia do nowego systemu – jak mieliśmy nadzieję, demokratycznego. Z tego powodu nie należało zbyt gwałtownie domagać się ustąpienia Franka. Nie pamiętam szczegółów, ale w czasie wiecu studenckiego sprowokowano mnie do bardzo ostrego wystąpienia przeciwko Janowi Klesze. Pisze o tym w swoim wspomnieniu Gołębiowski. Choć niezupełnie pochwała moje zachowanie, potwierdza jednak, że sprowokowano mnie. Jan Klecha był człowiekiem mocno usadowionym w aparacie partyjnym, w swoim czasie pełnił funkcję kierownika Wydziału Rolnego Komitetu Centralnego. Ja miałem ze sobą szrotki z artykułem Krystyny Garwolińskiej na tematy autochtoniczne, oraz poprawkami naniesionymi przez Klechę. Uwaga! Wysoko postawiony towarzysz z aparatu partyjnego adjustował tekst sprawnej, znakomitej dziennikarki! Komentarze Klechy roily się od podstawowych błędów ortograficznych z „ó-kreskowanym” czy „er-zet”, nadto sformułowane były w żargonie partyjnym najgorszego autoramentu, przypominającym materiał, który potem zebrał w swej książce Bohdan Łukaszewicz. Niektóre z uwag Klechy były po prostu przerażające, żaden satyryk nie wymyśliłby czegoś podobnego. Świadczyły o tym, jak niski był poziom ludzi wówczas rządzących. Zacząłem więc podczas wiecu udowadniać, że Jan Klecha to nieuk i analfabeta i jako taki nie jest właściwym człowiekiem do kierowania aparatem wojewódzkim. Moje wystąpienie spotkało się z burzą oklasków ze strony studentów, natomiast Michał Frank, sekretarz do spraw propagandy Komitetu Wojewódzkiego, powstał z miejsca:

— Biłbym w mordę tego, który w tak niewybredny sposób atakował tutaj towarzysza Klechę! — oznajmił.

Sala zaczęła krzyżeć: — Ale my byśmy nie bili! I bić nie będziemy!

Nastąpiła burza śmiechu. Tak się zakończyła obrona Jana Klechy przez Franka. Oczywiście, uwzględniając dodatkowo moje wpisy personalne do rezolucji studentów Kortowa, wystąpienie przeciwko Klesze postawiło mnie w bardzo określonej pozycji zarówno w Olsztynie jak i województwie.

W rezultacie tych wydarzeń odbyło się łączone zebranie organizacji partyjnych *Głosu Olsztyńskiego*, polskiego radia oraz *Warmii i Mazur*. Ja w nich nie uczestniczyłem, ponieważ nie byłem wówczas członkiem PZPR. Uchwalono wspólną rezolucję-uchwałę, opublikowaną następnie w *Głosie Olsztyńskim* jako list otwarty do Komitetu Wojewódzkiego, podpisany przez redakcyjne organizacje partyjne. List był śmiały, żądał zmian. Odbyło się również zebranie organizacji partyjnej w Kortowie. Nawiasem mówiąc, wic na schodach teatru był bardzo skrupulatnie nagrywany przez Polskie Radio w Olsztynie; istnieje też zdjęcie, które pokazuje dziennikarzy siedzących i nagrywających wszystkie teksty i przemówienia. Nagrania te zostały wypożyczone z archiwum Polskiego Radia i... nigdy nie tam wróciły. Po prostu ich nie ma. Może były jakimś towarzyszowi niewygodne.

Czy nastąpiła odwilż? Ja mam na to spojrzenie dziennikarskie – dla mnie osobiście owe miesiące były czasem, kiedy mogłem swobodnie odetchnąć. Przed październikiem prawie nic nie mogliśmy napisać. Na jakąś krytykę pozwalano, mogliśmy na przykład krytykować pegeery, zdarzały się nam nawet dosyć dogłębne analizy działalności ekonomicznej owych twórców. Jednak w sensie politycznym mieliśmy kompletnie zaklebowane usta. Dlatego to, co mogliśmy robić obecnie, chociażby w dwutygodniku *Warmia i Mazury*, było olśnieniem! Bo nagle możemy! Pisaliśmy więc z Gołębiowskim teksty – co tu dużo gadać, krytyczne – które obrazowały stan ówczesnego pobudzenia umysłów. Gdy analizuję artykuły z *Głosu Olsztyńskiego* oraz dodatku *Rzeczywistość*, pomieszczone następnie w książce Łukaszewicza *Rok 56*, to stwierdzam, że nasi koledzy na ogół zatrzymywali się w pół słowa; ich

publicystyka była jakby ciąglem chodzeniem obok. Nie chciałem być wobec nich zbyt krytyczny, ale wydaje mi się, że ja z Gołębiowskim byliśmy odważniejsi, bardziej konstruktywni niż reszta redakcji. Oczywiście, *Warmia i Mazury* nie były organem partyjnym. Nasz redaktor naczelny nie był nasłanym, kontrolowanym członkiem egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego Partii. My właściwie sami zdecydowaliśmy o tym, jaka będzie nasza redakcja oraz pismo.

Dwudziestego drugiego października odbyło się spotkanie dziennikarzy z organizacją partyjnych z egzekutywą Komitetu

ńskim, by uświadomić sobie ich absolutną, beznadzieją głupotę. Oni po prostu mają w głowach całkowity kociokwik, nie umieją sformułować niczego, co byłoby konstruktywne dla przyszłości. W moim artykule opisałem to następująco: *Thumnie idziemy do KW-sa, na posiedzenie egzekutywy, która nas wszystkich pomieściła. Pierwszy sekretarz, Towarzysz Klecha, informuje nas o przebiegu ósmego plenum i w ogóle o sytuacji. To naprawdę bardzo przykre, ale okazuje się, że pierwszy sekretarz nie ma nam nic do powiedzenia. Wiemy znacznie więcej od niego, co trąbią codziennie zagraniczne radiostacje. Czyżby pierwszy sekretarz KW i uczestnik warszawskich wydarzeń nic o nich nie wiedzieli? Trudno w to uwierzyć i trudno zrozumieć, dlaczego nie chce mówić – chociaż są sprawy, o których wielu osobom mówić aż nazbyt niewygodnie. I oto powstaje smutny obraz: po jednej stronie gromada chłonnych wiadomości, rady, wsparcia dziennikarzy, załęczonych, nie mających nic do powiedzenia ludzi. A jednak nawet w takim momencie po szklistej powierzchni stołu w stronę jednego z sekretarzy redakcyjnych organizacji partyjnych prześliznęła się kartka, zapisana kilkoma słowami «Proszę przyjąć mnie na kandydata Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej».*

To była moja kartka. Przesłałem ją wtedy Bronkowi Gołębiowskiemu, który był sekretarzem organizacji partyjnej w naszej redakcji. Ten gest świadczy o stanie mojego umysłu. Byłem krytyczny, ale nie antypartyjny czy antykomunistyczny i że strona reformatorska, po której byłem, musi się jakoś umacniać. Wydawało się, że przede wszystkim trzeba owych ludzi odsunąć od władzy, ponieważ są tylko szkodnikami. Na jednym z wieców przypominałem na przykład, jak to pierwszy sekretarz Jan Klecha namawiał rolników, by w braku paszy karmili bydło słomą. Rzeczywiście brakowało wówczas paszy, ale Klecha twierdził po prostu, że słoma jest pełnowartościowym substytutem siana, z wszystkimi wartościowymi składnikami odżywczymi, których potrzebują krowy! To było strasznie kompromitujące. Zatem owych ludzi należało odsunąć, a na ich miejsce poszukać fachowców poszczególnych dziedzin, inteligentów. Pragnąłem, żeby zamiast księżycowej ekonomii była ekonomia prawdziwa; żeby



Reportaż "Śladami boszych stóp"

Wojewódzkiego, która wówczas mieściła się w gmachu przy ulicy Pieniężnego (dziś zdejduje się należącego do uniwersytetu – naprzeciw takiego ładnego pałacyku). Był tam wielki dębowy stół, za którym siedział pierwszy sekretarz Jan Klecha oraz paru innych sekretarzy. Po drugiej stronie stołu my, dziennikarze. To miało być spotkanie informacyjne. Przyszliśmy, by dowiedzieć się, co oni mają nam do powiedzenia na temat wydarzeń w województwie. Siedzimy i patrzymy – a oni do powiedzenia nie mają dosłownie nic. Wystarczy przeczytać parę sprawozdań, które napisali do Komitetu Centralnego o tym, co się dzieje w województwie olszty-

zamiast mianowania ludzi na poszczególne stanowiska były wybory, również w partii. Jednym słowem, marzyła mi się socjalistyczna demokracja. Przesłałem zatem podanie o przyjęcie mnie w poczet kandydatów PZPR. Dodam, że w przechowalni kandydackiej przetrzymano mnie wyjątkowo długo. Do partii przyjęto mnie dopiero dwa lata później.

*

Po październiku 1956 r. nastąpił szczęśliwy czas intermedium, kiedy władza komunistyczna była na tyle zdeorientowana, iż praktycznie rzecz biorąc nic nie robiła. To znaczy, na wszelki wypadek również nie przeszkadzała. Symptodem owej dezorientacji było na przykład ukazanie się na łamach *Warmii i Mazur* na przełomie lat 1956-7 mojego reportażu „Śladami bosych stóp”³. Na skutek porozumienia Gomułki z Chruszczowem w 1956 roku, część ludzi wcześniej wysłanych do gułagów czy prześladowanych mogła repatriować się z Sowietów do Polski; wśród nich sporo dawnych polskich Żydów, którzy potem przez Polskę wyjeżdżali do Izraela. Bardzo ucziwie, bez żadnych zahamowań pisałem w owym reportażu o tym, co spotkało reemigrantów. Mój tekst znalazł się w późniejszej antologii reportażu o Warmii i Mazurach z lat 1950-2000, wydanej przez Uniwersytet Warmińsko-Mazurski; oraz, choć bez trzeciej części (co mu specjalnie nie szkodzi), w kolejnej antologii powojennego reportażu Warmii i Mazur, *A dąb rośnie*, z roku 2002. Skoro wydana została w Instytucie – czy na Wydziale – Dziennikarstwa Uniwersytetu Warmii i Mazur (chyba przez panią Szydłowską), rozumiem, że ów reportaż wciąż jeszcze żyje i trafia do dzisiejszych studentów dziennikarstwa. Dziś mógłbym go opublikować bez ostatniej części, w której usiłowałem się jakoś rakiem wycofać z tego, co napisałem wcześniej, by niejako zbudować ochronny parasol.

Reportaż rozpoczyna się od przedstawienia sytuacji kilkunastu repatriantów świeżo przybyłych z Sowietów; pokazuje, w jak trudnej sytuacji oni się znajdują. Brakuje dla nich mieszkań. Ktoś im coś obiecywał, ale obietnice pozostają niespełnione. Zaczyna pękać ich wiara w ojczyznę, w to że po powrocie ich los generalnie odmieni się na lepsze. Drugim nurtem reportażu jest przedstawienie losów pięciu osób. Wśród nich jest pan Władysław Macuch. Wywieziony do Sowietów, w czterdziestym roku powołany do służby wojskowej, przeżył całą kampanię rosyjsko-niemiecką, był ranny. Po wyleczeniu został skierowany do jednego z miast syberyjskich. Jak się wkrótce miało okazać, był to tak zwany w Rosji *reżim-*

nyj gorod, czyli miasto, w którym można się było osiedlić, ale nie można było zeń wyjechać. Powód – czujność. Władysław Macuch spędził tam kilkanaście lat, praktycznie zaaresztowany. Drugi wariant to pan Piotr Mierzaniec, przed wojną właściciel gospodarki. Niemiecką okupację przeżył w oddziałach Armii Krajowej na Wileńszczyźnie. Po wojnie został ujęty przez władze rosyjskie jako wróg narodu. Wyrokiem trybunału wojennego skazano go na uwięzienie w workuckim obozie. Nastąpiły długie lata ciężkiej pracy w kopalni węgla. Dopiero w 1954 roku zwolniono go na tak zwane *wolnyje posilenie*. Od zamknięcia w obozie różniło się ono tym, że – jak ktoś to napisał – postronek był nieco dłuższy. Wariant trzeci to rodzice Aleksandry Nietraż – bogaci gospodarze, których za tak zwane *kułaczestwo* wywieziono w ramach akcji „odkułaczania” do środkowej Azji. Aleksandra wraz z młodszą siostrą cudem się uchroniła. Również cudem udało jej się skończyć filologię rosyjską na Uniwersytecie Wileńskim i otrzymać dyplom. Praktyka była taka, że studenci o niekorzystnym pochodzeniu pomimo zdania egzaminów końcowych nie otrzymywali dyplomów. Pani Aleksandra udało się jednak, uczyła potem języka polskiego, geografii i biologii w jednym z gimnazjów. Wariant czwarty to Józef Waszkiewicz, AK-owiec, który w czterdziestym szóstym roku wraz z całym plutonem przeszedł granicę rosyjsko-polską. Do roku czterdziestego ósmego przebywał w Orłowie, w powiecie giżyckim. Tu się ożenił. Gdy go zapytać, dlaczego się nie ujawnił, odpowiada, że w więzieniu spotkał wielu kolegów, którzy to zrobili. W czterdziestym ósmym roku władze w Polsce aresztowały go jako członka Armii Krajowej, a następnie przekazały władzom radzieckim. Wojenny trybunał skazał go za zdradę „ojczyzny”, na dwadzieścia pięć lat pracy przymusowej w obozie. Teraz Józef Waszkiewicz pyta „Z jakiej racji sąd sowiecki sądził mnie za zdradę ojczyzny, skoro moją ojczyzną była i jest Polska? Dlaczego władze polskie przekazały mnie władzom rosyjskim?” Wariant piąty: Mikołaj Kiepel, rolnik z nowogródzkiej, w sierpniu 1939 zmobilizowany do wojska. We wrześniu przekroczył granicę rumuńską. Po dłuższych perypetiach trafił do wojska generała Sikorskiego. Przeszedł cały szlak drugiego korpusu, łącznie z bitwą o Monte Cassino. Tuż przed zakończeniem wojny był ciężko ranny. Do kraju wrócił w czterdziestym ósmym roku. Wkrótce, chcąc się zobaczyć z rodziną, pojechał do nowogródzkiej, już należącej do ZSRR. Niedługo przyszło mu zażywać szczęścia domowego. Wraz z rod-

ziną wywieziono go na Syberię jako – mój Boże, cóż za farsa – Zawiszę, kanoniera burżuazyjnej armii. Po ośmiu latach kopania rudy udało mu się wrócić do Polski. Poszukuje pracy i mieszkania. Przy końcu reportażu zamieszczam opowieść Stefanii Damuć, którą zesłano w pustynny region Tadżykistanu... Oto cytat z rozmowy z nią:

— Czy dużo Polaków było w Tadżykistanie? – pytam na odchodnym.

— Dużo, bardzo dużo, ale wszyscy byli tak rozrzućeni po stepie, że nie można się było spotkać. Wie pan, jakeśmy się odnajdywali? Po śladach. Szukaliśmy na piasku ludzkich śladów. Jeżeli to były ślady bosych stóp, to znaczy, że przechodził tędy Polak.

Popatrzyłem na nią z niedowierzaniem.

— Ja nie przesadzam, panie...

Pomyślałem: to zupełnie dobry tytuł, „Śladami bosych stóp”.

Fakt, że ów tekst mógł ukazać się w pięćdziesiątym siódmym roku był absolutnie niewiarygodny. Oto, jak do tego doszło. Krystyna Garwolińska, która wówczas była kierownikiem działu reportażu w *Warmii i Mazurach*, posłała z moim tekstem do pana Masztalera (czy Masztalerza?)⁴, świeżo wówczas wybranego sekretarza propagandy Komitetu Wojewódzkiego Partii. Masztaler ponoć spojrzął na ów tekst i powiedział — A, to drukujcie! Nie ma sprawy, drukujcie!

Już wówczas wzbudzało to po prostu zdumienie, że tego rodzaju tekst mógł się ukazać. Kiedy jeszcze był w drukarni, w szcztokach, Olsztyn odwiedził Ernest Bryl, wówczas ledwo zapowiadający się poeta i bardzo młody dziennikarz, zresztą mój rówieśnik. Towarzyszył mu nieco starszy dziennikarz, Juliusz Garztecki, późniejszy redaktor miesięcznika *Ty i Ja*. Obaj chwycili owe szcztoki, prosząc, żeby im parę odbić, bo oni muszą ten tekst mieć; ponieważ nie wierzą, że to się ukáže w druku. Sądzieli, że w ostatniej chwili ktoś to powstrzyma. Tekst wzbudził zainteresowanie między innymi *Wiadomości* – periodyku, który ukazywał się w Londynie i był redagowany przez przedwojennego dziennikarza o nazwisku Grydzewski. Pewną uwagę poświęciło memu tekstowi również radio *Wolna Europa*. Oczywiście większej „krzywdy” nie można mi było wtedy zrobić!

To wszystko dowodzi po prostu, jak zdeorientowana i bezradna była w owym czasie władza komunistyczna. Oni nagle przestali wykonywać to, co do nich normalnie należało, to znaczy pilnować, żeby był *ordnung*, żeby nikt się nie wychylił, żeby wszystko było zgodnie z zaleceniami wielkiego brata. Nagle ukazuje się w druku taki bardzo antysowiecki tekst. Choć bard-

zo dużo odważnych, śmiałych reportaży ukazało się w prasie polskiej, żaden facet odpowiedzialny za propagandę nie posunął się tak aż daleko, by zezwolić na druk podobnego materiału. Chwała więc panu Masztalerowi! Dzisiaj, gdy nie działa cenzura, mógłbym łatwo opublikować taki reportaż o ludzkich losach, ale wtedy było to nie do pomyślenia. Po prostu zdarzył cud!

Wszelako gdzieś w annałach Wielkiego Brata konsule sowieccy zapisali mnie jako wroga, ponieważ z owej publikacji musiałem się rok w rok tłumaczyć przed komisją weryfikacyjną partii, w późniejszych latach składającą się, o ile pamiętam, już tylko z jednej osoby, komisarza propagandowego Komitetu Wojewódzkiego. Tuż przed rokiem siedemdziesiątym weryfikację prowadził sekretarz propagandy Michał Atlas, następca Rokoszewskiego i późniejszy kierownik wydziału administracyjnego KC, przy tym członek marcowej sitwy⁵. I gdy znów przypomniano mi reportaż „Śladami bosych stóp”, podniosłem się z krzesła: — Jak długo będziecie mi to przypominać, jak długo to będzie się za mną ciągnęło?

Odparli, że to ostatni raz; że już następnym razem zostanie mi to wymazane z akt partyjnych, jeśli nie będzie do mnie żadnych zarzutów.

Źródła: nagrania i dokumenty pozostawione przez Bohdana Kurowskiego.

Spisanie oraz redakcja tekstu:

dr Joanna Kurowska

1. We wcześniejszym rozdziale *Wspomnień* autor opisuje zaproszenie w 1956 r. Władysława Bienkowskiego – wówczas bliskiego współpracownika Władysława Gomułki – przez redakcję *Warmii i Mazur*, jako „rodzaj intelektualnej prowokacji“.

2. W oryginale „ja zaś byłem tylko członkiem zarządu”; prawdopodobnie błąd w maszynopisie. Autor został członkiem SPD w 1953 r. Tekstem źródłowym odnośnego fragmentu jest maszynopis wywiadu przeprowadzonego z B. Kurowskim przez Jarmo Jääskeläinen w roku 1990.

3. Reportaż „Śladami bosych stóp” ukazał się w trzech kolejnych odcinkach w *Warmii i Mazurach* w lutym/marcu 1957 r. Wcześniej dwutygodnik opublikował tekst Bohdana Kurowskiego „Uczta zesłańców”, opisujący wieczór wigilijny w Kazachstanie, na którym prócz Polaków zebrało się kilka osób różnych narodowości (*Warmia i Mazury* nr 1, styczeń 1957).

4. Zapewne chodzi o Jana Masztalera, który w latach 50. piastował w Olsztynie funkcję sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR (por. *Encyklopedia Warmii i Mazur* on-line).

5. „Członek marcowej sitwy” – związany z frakcją Mieczysława Moczara.

P.S. Zdjęcie zamieszczone na s. 27 „Debaty” sierpniowej ilustrujące cz. 6 wspomnień B. Kurowskiego powinno być podpisane: Zofia i Witold Kurowscy z synem Zbyszkim, 1932.